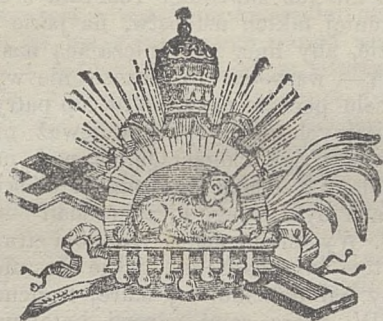


*Przedpłata do końca  
Czerwca b. r. w Kra-  
kowie Złr. 2 cent. 50.  
wraz z przesłanką po-  
człową wynosi Złr. 3.  
zaś za granicą Tal. 2.*



*Wychodzi regularnie  
z końcem każdego ty-  
godnia. Prenumeratę  
uprasza się nadsłać  
wprost do Księgarni  
Katolickiej  
w Krakowie.*

# TYGODNIK SOBOROWY.

---

Treść. Dzienniki liberalne w obec Soboru. „Tydzień J. I. Kraszewskiego.“ — Kronika Soborowa. —

---

## DZIENNIKI LIBERALNE w obec Soboru. „Tydzień I. J. Kraszewskiego.“

Pokusa popychająca do szyzmy, lub ku niej nęcąca, jest wielkiem dopuszczeniem boskiem na dzisiejsze czasy. Jest-li to sprawiedliwa kara, czy próba? Jest-li to dowód ostatecznego naszego rozkładu, czy szkoła ku wykształceniu w nas przeświadczenia katolickiego? Bóg to wie. To pewna, że wołając codziennie do Ojca w niebiesiech: *i niewódź nas na pokuszenie*, na narzędzia owej pokusy proszą naszą przeważnie dziś wskazujemy.

Nacisk tyranii ze strony otwartych i potężnych nieprzyjaciół katolicyzmu usiłujących z pewnym gorączkowym pośpiechem wydrzeć całemu narodowi skarb wiary, w przekonaniu, że z tym skarbem wydrą mu ostatnie zasoby narodowego życia, — z drugiej strony obietnice ulżenia w całowiekowych cierpieniach lub ponęty dobrobytu materyalnego pod warunkiem zaparcia się religii zbyt utrzymującej w sferach idealnych, — zkład inną jeszcze



nastawiania w imie rozumu, oświaty, postępu, ducha czasu, domagające się, jeżeli nie już zupełnego rozbratu z Kościołem katolickim, to przynajmniej takich ustępstw, na jakie dosyć by się było w połowie zgodzić, aby linię odgraniczającą nas od szyzmy w słaby cień zamienić — wszystko to jeszcze nie wystarczało — i oto w tym samym celu poczęto nas brać na lep patryotyzmu i samychże narodowo-religijnych tradycji. Ponieważ niepodobna byłoby jeszcze wołać do nas, jak Edgar Quinet woła na zachodzie: „wynijdziecie, uciekajcie z Kościoła rzymsko-katolickiego, abyście w jego bliskich ruinach bytu swego niezagrzebali“ — przeto wzięto się na inne sposoby. Wyganiają nas z Kościoła straszidłem ultramontanizmu, nie w tém już znaczeniu, jakie do niego przywiązywali twórcy i obrońcy galikanizmu, tej starej francuskiej peruki z czasów Ludwika XIV, którą sami zdrowi katolicy francuscy dawno na śmieci wyrzucili, ale w znaczeniu równoważącym samą ściśle wziętą katolickość.

W tém znaczeniu ultramontanizmem ma być Kościół z Papieżem ogłoszonym *nieomylnym*. W tém znaczeniu ultramontanizmem ma być Kościół zgromadzony w siedmuset biskupach na Soborze tę nieomyślność dogmatem wiary ogłaszający. W tém znaczeniu ultramontanizmem ma być Sobór z Papieżem, uderzający anatematem w doktryny błędne Syllabusem oznaczone. W tém znaczeniu nakoniec ultramontanizmem jest Kościół rzymski, godzący na swobody Kościołów narodowych — na swobody Kościoła polskiego!!; na autonomię nie tylko dyscyplinarną i rytualną, ale nawet na autonomię dogmatyczną naszej dziejowej, polskiej katolickości: „która w pojęciu prawd katolickich i w zastosowaniu ich do życia chciała i umiała być swobodną.“ (Rachunki Bolesławia z r. 1869).

A więc — ultramonizmem według tego, to sam Kościół rzymsko-katolicki i rzymsko-katolicka nauka.

Przed kilku laty tak samo chciał o tem katolików i duchownych polskich przekonać książę Czerkaski, najzaciętszy i najzręczniejszy wróg katolicyzmu w Polsce. Tak ciągle przekonywuje katolików i duchownych w całej monarchii rosyjskiej p. Siewers, minister wyznań w Petersburgu, z wiernym sobie synodem złożonym z wykletych księży katolickich. Tak przekonywują katolików i duchownych katolickich w Polsce, Litwie, na Podolu i Ukrainie gubernatorowie, naczelnicy wojenni i sprawnicy, potężnie wspierani przez dzienniki Katkowa, Krajewskiego, i tym podobnych apostołów prawosławia.

Tak nas chce przekonać liberalna prasa polska, szczególnie od chwili, w której się rozpoczął Sobór Watykański.

Rzeczywiście, aż po rok 1863 w dziennikarstwie naszym nie było żadnego organu z charakterem jawnie i wybitnie antykatolickim. Jakkolwiek nieprzychylność dla religii i Kościoła rzymskiego, piętnowała mniej więcej wszystkie dzienniki w trzech Stolicach pol-



skich wychodzące, ledwie z wyjątkiem jednego „Czasu“, wojny jednakże stanowczej, żaden z nich nie śmiał, czy nieumiał wypowiedzieć. Owszem prawowierności rzymskiej używały one wszystkie bez wyjątku za hasło lub nawet powód do rozniecenia pożaru nieszczęśliwego powstania, — lecz po strasznej owej dacie, zło to poczynawszy się w Warszawie w redakcyi Pawliszczewa, rozlało się po wszystkich częściach Polski. Wojna systematyczna na rozmaitych punktach została uorganizowaną. Dzienniki galicyjskie uderzyły w trąbę zaskarżeń przeciw ultramontanizmowi, to jest przeciw katolicyzmowi rzymskiemu i podniosły miecz słowa na rzecz idei Kościołów niezawisłych, to jest idei odszczepieństwa.

W obec Soboru zgromadzonego w Rzymie, zaskarżenia te redukuja się do następujących, mających wyłącznie na względzie nasze obecne narodowe położenie:

Ultramontanizm jest z siebie trucizną rozwiązującą życie narodowe.

Ultramontanizm wrogiem jest swobody umysłowej i obywatelskiego działania.

Ultramontanizm doszedł do ostateczności *rozkiełznania*, występując otwarcie za dogmatem nieomylności papieskiej, którą to nieomylność chce przeprowadzić sam rząd rossyjski na rzecz usankcjonowania rozbioru Polski i zniszczenia narodowości polskiej.

Rząd pruski zjednoczył z Rosyją swe usiłowania i postanowił wspólnie ideał ultramontanizmu, to jest nieomylność papieską przeprowadzić.

Oba te rządy postanowiły posłużyć się w tej mierze X. arcybiskupem Gnieźnieńskim i jego prymasowską godnością, którą tym celem wskrzesiła Rosyja i Bismark.

Biskupi galicyjscy przejrawszy zbrodniczość zamiarów ultramontańskich, odstrychnęli się od Prymasa i podpisali adres przeciwko nieomylności — a to aby uratować zgodę uczucia religijnego z patriotyzmem i stary katolicyzm polski antyultramontański.

Papież zaślepiony swemi marzeniami i zatwardziały w swych uroszczeniach popadł w sidła ultramontanizmu, a więc odpadł od starej katolickiej prawdy i ultramontańskimi podżeganiem popchnięty zmienił zasadnicze ustawy Soboru i zniweczył jego wolność.

Tem samem Sobór przestał być ekumenicznym, gdyż większość biskupów z Papieżem jest w błędzie, a mniejszość jasnowidząca jest pod naciskiem.

Ustawy zatem Soboru nie mogą mieć mocy obowiązującej sumień wiernych.

A zatem co? A zatem, żeśmy powinni stanąć za opozycją Soborową, zarzucającą większości biskupów herezyę i zdradę prawdziwych interesów kościoła, na rzecz ciemnoty, przesądu lub osobistych widoków.



Zatem, żeśmy powinni stanąć po stronie biskupa, którego broszury Rossya rozszerza na wschodzie, a przeciw któremu słowa nie da powiedzieć w Polsce — i za drugim, którego krasomostwo miało na wzgardę całego świata wystawić nagość rzymskiej kuryi — a którym rząd rossyjski chce się w samej istocie posłużyć w przeprowadzeniu swej zgody z Rzymem — i za trzecim biskupem, który nietylko *ostro wystąpił* przeciw proponowanej *jedności małego katechizmu*, ale *nadto oskarżył i potępił* rzymski Breviarz.

I jeszcze iść mamy za Gratrym, który papieża Honoryusza przeciw wszystkim katolickim historykom ogłosił heretykiem i o herezyę oskarżył większość teraźniejszego Soboru, usiłującą mimo tego faktu przeprowadzić ogłoszenie nieomyłności Papięza.

I jeszcze stanąć mamy razem z Döllingerem, który ręką w rękę z teologami i historykami szyzmatykami dowodzi, że Sobór florencki, na którym stanęła Unia, wcale nie był powszechnym.

A co najwięcej — stanąć mamy ręką w rękę z Xieźmi polskimi z ostatniej emigracyi, których list od początku do końca pełen szyzmatycznych dążeń, potępił X. Prałat Sosnowski, a który w myśl rządu rossyjskiego odpowiedzieli na to potępienie oskarżeniem, że X. Sosnowski nieprawnie przywłaszcza sobie misję reprezentowania Kościoła katolickiego pod zaborem rossyjskim — że właściwie nie reprezentuje, póki się nie wykaże mandatem (zapewnie od tych biskupów, których ciż sami Xieźa emigranci lżyli i spotwarzali w czasopismach takich, jak np. *Głos Kapłana*).

Przepraszamy czytelników naszych za to nagromadzenie szaleństw i bluźnierstw, wyszłych z pod pióra nieprzyjaciół ultramontanów. Gdyby rzeczywiście zaskarżenia i wymówki powyższe tak z wszelkich osłon frazesów i amplifikacyi odarte i w zestawieniu z ich właściwymi dążnościami lub znaczeniami, najsympatyczniejszy nawet Dziennik wytoczył przed sąd swoich czytelników, to pewnie żaden rozumny i uczciwy człowiek, jakkolwiek byłby uprzedzony nie zwracałby na nie uwagi — boby się same swą brzydota w jego oczach potępiły. Na proste też twierdzenie, choćby powszechnie znanego z prawdomówności człowieka, niktby nie wierzył, że dzienniki pisane po polsku, dla katolików polskich coś podobnego napisać były zdolne.

Lecz, kto by sobie zadał pracę i przeczytał uważnie, czém pod tém względem prasa liberalna polska zwłaszcza pod rubryką wiadomości o Rzymie i Soborze od 8 Grudnia częstuje swych czytelników, gdyby to wszystko przeczytał, odgarnawszy na bok cały aparat frazesów i amplifikacyi wyrachowanych na ucho katolickie, przyznałby niezawodnie, że jeżeliśmy nieosłabili w powyższem streszczeniu szyzmatycznego ich ducha, tośmy go ani na jotę nie-przesadzili.



Pismo, które dzisiaj bierzemy pod rozbiór, aby dopełnić smutnego obowiązku ostrzegania przeciw fałszywym braciom, podejmującym tę nieszczęśliwą robotę kuszenia własnego narodu i napędzania go w sieci odszczepieństwa, nazywa się „Tydzień“, wychodzi w Dreźnie, ma dopiero trzy miesiące istnienia i jest redagowane przez J. I. Kraszewskiego.

Pismo to zdaje się *ad hoc* być stworzone, aby zużytkować resztki konającej sławy i popularności znakomitego niegdyś autora na rzecz zochydzenia Stolicy świętej i Soboru Watykańskiego. Wychodzi ono w Stolicy zamieszkałej zwykle przez bogatsze rodziny polskie. W trzynastu numerach, które mamy przed sobą tyle już napisano o Soborze i Rzymie, że po ścisłym rozrachowaniu, ledwie czwarta część pozostaje na inne artykuły polityczne i literackie, a trzy czwarte poświęcone są korespondencyjom rzymskim i inwektywom na Rzym w odcinku p. t. *kochajmy się*.

Rycerzami występującymi wyłącznie na te niesłachetne harce przeciw Rzymowi i Soborowi jest sam Redaktor w pogniecionym cylindrze à la Henryk Heine, w armaturze kopiowanej w srebrnym papierze wedle zbroi Irydionowej — i zakryty anonimem P. Władysław Kulczycki z dewizą grecką γῆ, może wyrażającą ziemię, czyli ojczyznę religijnej swobody i niezawisłości od tyranii latynizmu, albo może początek wyrazu *gemonium* oznaczającego miejsce pręgierza, na którym pogaństwo rzymskie stawiało jako zbrodniarzy pierwszych wyznawców Chrystusa lub ciała ich poszarpane torturą na pastwę psów wyrzucało, a na które dzisiejsze pogaństwo chciałaby stawić lub wyrzucić Papieża, jako *króla i nieomylnego* nauczyciela Kościoła.

Kraszewski! Cóż go w te szranki sprowadza? Romansopisarz z profesyi i postarzały na tym chlebie, a dla polskich czytelników tego rodzaju literatury i dla serc nawet dość jeszcze katolickich pożądany i przyjemny, jakichże rzeczy smutną alternatą, przyjął na stare swe lata obowiązek wygadywania na katolicyzm rzymski, jakoby niby na ultramontanizm i obowiązek wyniszczania w sercu swych rodaków uczuć szacunku i miłości dla Kościoła i wiary; uczuć, któreby jeszcze być mogły dla tyłu, jeżeli już nie źródłem siły, to przynajmniej pociechy? Na polu powieściopisarstwa zwykle się umysł zużywa i spada. Powieść najlichsza część literatury, sama niewdzięcznie swych twórców o taki koniec przyprawia, zwłaszcza gdy autor z pióra żyjąc musi się stósować nie do prawideł estetycznych, nie do ideału, ale do dziennych usposobień i predylekcyi lekkich czytelników. Powieść raz przeczytana już nie wraca w te same ręce, ale idzie albo raczej spada w sfery czytelników coraz mniej wymagających — nikt jej dwa razy nie czyta, choćby się znakomita zwała. Przeświadczenie sumienne o rzeczywistej zasłudze, to przeświadczenie stanowiące o godności pisarza, tém mniej tu możebne, im mniej możebną jest sama zasługa. Rzadki wypadek taki Korzeniowski — P. Kraszew-



ski do tych wyjątków nie należy. Bywało, że nawet czarował pięknnością i bogactwem swych pomysłów. Wielu twierdzi, że w książkach jego znachodzili prawdziwe klejnoty ducha, że się spotykali nawet z ideałami — my nie idąc tak daleko, chętnie sobie przypominamy, że za dni młodości unosiliśmy się nad pięknnością obrazów wyszłych niezawodnie z serca niezmrożonego jeszcze w uczuciach zacnych, nawet religijnych. Ale każdy przyzna, że obok tych obrazów ukazywały się smutne plody chorobliwego marzyciela, któremu naród nasz zawdzięcza w niemałym stopniu rozwinięcie i wygórowanie fantazyi i czułościowości, a więc tego fałszywego kierunku, który go o wiele bolesnych strat przypawił, i skutkiem którego, w działaniu nowszej zwłaszcza generacyi, tak często się schodzi zniewieściałość i miękość z instynktami nieznaną dotąd w naszym narodzie srogości i okrucieństwa. Owszem, z pod pióra tego autora wychodziły choć prawda, bardzo rzadko i jakby przypadkowo obrazy i posągi powieściowe, które nam dopiero w późnym jego wieku wytłómaczył cynizm domagający się nagości w sztuce, i takie opisy jakby je po prostu polska mowa przeniosła z brudnych kart Pawła Koka, lub samego Pigault-Lebrun. Obok tego występowały w jego powieściach charaktery, poetyzowania i rozumowania, które w mnóstwie umysłów i serc zaszczerpiły sceptycyzm religijny i moralny i na wzór których uczono się wątpić i mówić z rodzajem przekąsu o samym rządzie opatrności, o prawach i wymaganiach naturalnej nawet moralności, a cóż dopiero o świętościach religii objawionej.

Pan Kraszewski już jako znakomitość literacka zwiedzał Rzym. Rzym zwykle bywa dla głośnych znakomitości opoką, na której się wzmacniają i olbrzymieją, jeżeli były rzeczywistemi — albo kamieniem obrażenia, o który utknawszy boleśnie upadają bez nadziei dźwignięcia się, jeżeli były tylko pozornymi, lub sztucznymi. Pan Kraszewski miał to nieszczęście, że się potknął o Rzym i upadłszy już się więcej nie dźwignął. Jego bytność u Ojca świętego rokowała w sercach dawnych przyjaciół słodkie nadzieje, — lecz podobno ta go właśnie bytność zgubiła. Wielkie nieszczęście, kiedy syna zabija moralnie spotkanie się z cnotliwym ojcem, a cóż dopiero z podwójnie świętym, jakim jest Pius IXty. Mówiono, że OO. Zmartwychwstańcy uprzedzili to spotkanie sprawozdaniem o duchu literackich jego prac i że skutkiem tego w przyjęciu przez Ojca św. znalazł dla siebie upomnienie. Wiadomo, jak upomina Pius IX tych zwłaszcza synów, o których sądzi, że są zdolnymi przyjąć dobrem sercem jego pełne miłości przestrogi. Ale w tych rzeczach jest on nie już w skutek braku przenikliwości, bo tę posiada do wysokiego stopnia, ile w skutek dobrociwości omylnym i jak się omylił względem Passaglii, którego prawie karesując upominał, tak się omylił względem P. Kraszewskiego, który z tych odwiedzin wyniósł zaród śmiertelnego zniewieczenia się dla Kościoła katolickiego, a szczególnie dla ka-



tolickiego Rzymu. Car Mikołaj po rozmowie z Grzegorzem XVI i surowem z ust jego upomnieniu wyszedł niezmiernie zmieniony i omdlał w strasznej energii niszczenia religii i narodowości rządzonego przez się ludu — Pan Kraszewski po rozmowie z Piusem IX i słodkiej przestrodze z ust jego, wyszedł z sercem napelnionem goryczą i obudził w sobie energię do targania związku między Ojcem chrześcijaństwa a własnym swym narodem tyle jeszcze żyjącym ile rzymsko-katolickim.

Czy go rzeczywiście skrzywdzono? Czyż gdyby nawet Zmartywychwstańcy wpłynęli byli na owo przyjęcie, zgrzeszyliby tem przeciwko miłości i sprawiedliwości? Czyż zgrzeszył Józef donosząc Jakóbowi ojcę swemu o postępowaniu swych braci i zasłużył za to na ich nienawiść i zaprzękanie do obcych? Czyż Zmartywychwstańcy nie mieli powodu czuć się obowiązany do podobnego kroku, tak ze względu bratniej miłości dla osoby P. Kraszewskiego, jak ze względu na dobro ojczyzny, której pragnęli zapewnić wpływ katolicki ulubionego wówczas autora? P. K. wie zapewne, że dzieła Dumasa poszły wszystkie na index — a kiedy jemu chciano tej smutnej ostateczności oszczędzić, a narodowi pozyskać z niego spotęgowanego działacza — czyż to mogłoby się nazwać krzywdą?

Tak to jednak zrozumieli i odtąd zaczyna się stanowcza zmiana. Twórca Kordeckiego, tej powieści, która zdaniem wielu zbliża się do epepei, a która obudziła w sercu całego narodu miłość i zapal wdzięczności dla bohatera wykołysanego przez ducha rzymskiego, wzniesionego podówczas w Polsce do zenitu — surowy krytyk bluźniącego po raz pierwszy w Polsce Kościołowi i religii filozofa, krytyk, którego *Analizę* młodzież seminaryjska paląca się miłością dla Kościoła przepisywała onego czasu skrzętnie i prawie się na pamięć uczyła, jedynie dla tego, że w niej czuła akcent ślachtetnej miłości prawdy — ten sam! po powrocie z Rzymu, o jakże już inny! Dawna disharmonia między jego utworami ustąpiła miejsca strasznej jakiejś i żelaznej konsekwencji, coraz głębszych literackich upadków. Przedburza ostatnich wypadków sprowadziły go na pole dziennikarskie, a ta nowa jego faza jakże smutne oddaje świadectwo — nie powiemy już patryotyzmowi, który trudno, aby coś na gorzkościach i kwasach antykatolickich zyskał, ale usposobieniu razem umysłowemu, estetycznemu i moralnemu! Za dziennikarzem głębiej jeszcze zstępuje Bolesławita i autor Rachunków i próżno się gniewa, że go nazwano własnem imieniem, bo policzkowani mają przecież choćby to biedne prawo odgadnienia kto ich publicznie bije? Odtąd wiele razy odezwie się o Rzymie, to jakby Lamenais z książką swoją zjadliwą o „Sprawach Rzymu,“ lub z tą drugą, „Słowa Wierzącego“ przedstawiającą piekielny niepokój duszy, w której zraniona pycha zgasiła do ostatniej iskry wszelaką wiarę, nadzieję i miłość; to Lamenais mniej swoją straszliwą werwą i mniej geniuszem.



Taką kolej rzeczy P. K. doszedł do stanowiska, z którego dzisiaj narodowi swemu opowiada Ewangelie Chrystusa rozwiedzionego z Kościołem, albo Kościoła rozwiedzionego z Rzymem. W gazecie, którą redagował w Warszawie, Papież bardzo już nie-sympatycznie wyglądał. Właściwie wspomnienia o Rzymie papieskim służyły tam tylko za cień dla świetnej idei unifikacji i wolności Włoch. Szło prawda tylko o ziemską własność Papieża i P. K. przekonywał swoich czytelników głównie o tém, że zrzeczenie się tej własności na korzyść włoskiego państwa, wymagał sam najwyższy duchowny majestat Papieża. Zdawał on się podówczas być najtkliwszym tego majestatu miłośnikiem — miał nieraz postać syna błagającego u nóg ojca na kolanach i ze łzami w oczach, aby się ten ojciec nieupierał przy „lachmanie doczesnej władzy, kompromitującym w nim boską powagę i władzę Pasterza i Nauczyciela Kościoła.“ Biblijno-liryczne frazesa, któremi się nawet we wstępnych artykułach posługiwał, były w przekonaniu powszechności akcentem czystej i serdecznej ortodoksyi i rozumiano, że Pan K. na to tylko radby był Papieża widzieć boso na wzór św. Piotra, aby do stóp jego tém chętniej upadł świat cały. Nie brakło wprawdzie i takich, dla których owe frazesa zbyt były przeźroczytą, albo powiedzmy po prostu, dziurawą tkaniną, aby potrzebowali aż szukać osłoniętej niemi myśli. Takim też gorliwość P. K. o duchowne królestwo Papieża przedstawiała się na jednej linii z tkliwem jego zajmowaniem się powagą warszawskiego arcypasterza i obroną tej powagi przeciw własnemu arcypasterza postępowaniu, (skutkiem czego P. Kraszewski może jeszcze smutniejsze wyniósł wspomnienia i wrażenia z pałacu na Miodowej ulicy, niż z samego Watykanu). Ale, jakkolwiek byli tacy, którzy myśl jego rzeczywistą odczytywali przez powłokę sentencji, powszechność jednak czytelników przyjmowała w dobrej wierze, co jej raczył ofiarować i uwierzyła, że stoicką obojętność na smutną dolę i potrzeby doczesne Ojca chrześcijaństwa własny tego ojca nakazywał im interes. Zatem poszło, że za chwil zupełnej pod tym względem swobody w Warszawie i całej Polsce, ani słowo współczucia z serc katolików polskich, ani złamany szeląg z ich kieszeni nie poszedł do stóp odartego z własności kościelnej Papieża. Miliony, o których Pan Kr. w swoich Rachunkach wspomina, że idąc z Polski do Rzymu kraj nasz z ubożają, są jego własnej fantazyi bardzo niepoetyczną licencją.

Lecz przyszła kolej i na sam duchowny majestat Papieża. Czyż ten majestat może się potężniej i piękniej przedstawiać, jak na tronie Najwyższego Pasterza i Nauczyciela Kościoła i czyż przywilej nieomyślności nie jest jego niebiańską koroną? Cóż więc o nim dzisiaj powie ten, który niegdyś z wielkiej dla niego miłości starał się natchnąć serca katolików polskich zimnem i niechęcią na wszystkie odezwy wyzutege z najświętszej własności? Co powie zwłaszcza po nowo nabytém doświadczeniu, że nas to jedno tylko



ratuje od zapadnięcia się w otchłań rozwartą pod nami, iż jesteśmy jedno z Rzymem, i że nieprzyjasiel resztek naszego bytu i życia na to się właśnie najzacieciej wziął, aby tę jedność zniweczyć? Co powie? Zaprzeczyć tego nie może — bo przecież niepodobna byłoby zaprzeczyć ciągle trwającego faktu, to jest, że kiedy Sybir zaczyna się przecie wyludniać z ofiar ostatniego powstania, kiedy ci nawet, których do kopalń nerczyńskich zasłano po ulaskawieniu od wyroku śmierci, już się przecie ogrzali w swém rodzinném kółku, to ofiary niepokonalnej miłości Kościoła, to bohaterowie nierozzerwalnej jedności z Rzymem, to biskupi nasi i kapłani rozrzućeni w głębi Rossyi za to boskie przekonanie wiary, usychający z tęsknoty za owieczkami swemi i za ojczystą ziemią — nie powracają — i podobno póty nie powrócą, póki zamiar stargania ostatnich węzłów łączących nas z ogniwem katolickiego Kościoła nie zostanie przeprowadzonym. Przecież zaprzeczyć niepodobna, że Sobór musi być czemś dla nas, kiedy nieubłagani bytu naszego niszczyciele same biskupów polskich prosby udania się nań uważają za występki! przecież zaprzeczyć niepodobna, że nieomyślność Papieża jest jakimś bytu naszego puklerzem, kiedy jej przeciwnicy tyle znajdują łaski, uznania i chwały w organach mających służyć do wyzucia ducha narodu z wszystkiego, co go przed obuchem zniszczenia osłania. Przecież niepodobna zaprzeczyć, że zawisłość nasza od Stolicy rzymskiej, uległość jej wyrokom i rozkazom musi być naszą siłą a niezawisłość od Rzymu naszą śmiercią, kiedy tam każdy z Rzymem stosunek uważany jest za ciężką zbrodnię stanu, i kiedy z drugiej strony wszystko gotowi są zrobić, aby środek religijnego serc i umysłów ciążenia przenieść na Synod z wolnomyslnych polskich prałatów złożony!

Nie, P. Kraszewski mimo całej determinacyi antyrzymskiej zaprzeczyć tego nie może, uznaje on owszem w swych Rachunkach, które „Tygodniowi“ za klucz służyć mają, że kiedy w sobie na wszelkie sposoby rozbijamy jedność i gubimy się rozterką — to sama tylko jedność religijna z Rzymem tej rozterce czoło stawia i jakąś siłę wpośród nas stanowi. Ale nie cieszymy się pochopnie tém jego uznaniem. Pan Kraszewski surowy niegdyś krytyk szaleństw hegeliańskich, zbyt dziś z wysoka na ten świat patrzy, aby mógł sądzić, że prawda tutaj istnieć może bez sprzeczności, bez antytezy. Jedność nam potrzebna, bez jedności się gubimy — ale dążeń do tej jedności twardo dozorować trzeba, aby nas na śmierć niescentralizowały. Więc i w tę odrobinę uderzyć potrzeba, która się jeszcze przed zamachami rozterki ostała.

Jak tego dowieśdź? Nic łatwiejszego. Nazwać tę jedność ultramontanizmem — i sprawa skończona. Oto są jego słowa: „Nie ma wątpliwości dziś, że stronnictwo ultramontańskie jest, jeżeli nie jedyną siłą w naszym narodzie, to niezawodnie największą.“

(Rachunki z r. 1869, k. 15).



A o dwie stronnice wyżej: „Jest to jedyna u nas siła zorganizowana, podległa pewnej karności, idąca w porządku, gotowa do ofiary i mająca niemal odwagę wypowiedzenia swych przekonań, a nawet trwałego pracowania dla nich... Polska była od wieków katolicką, wszystkie tradycje nasze są katolickie, należymy do świata tego rzymskiego.“

Nie, nie ciesz się czytelniku tём wyznaniem, bo oto zaraz idzie po nim następujące, *ale*, które dowiedzie, że to wszystko coś dopiero przeczytał i czém się chciałeś cieszyć, zrozumiane po dług twójego prostego rozumu byłoby tylko — *zgubnym ultramontanizmem*. „Ale Polska (są słowa P. Kr.), w obyczaju Kościoła swego w pojęciu prawd katolickich i zastosowaniu ich do życia w tej sferze, w której Kościół sam *in dubiis libertas* zapewnił, chciała i umiała być swobodną.“

„Rzym też zachował sobie zwierzchnią władzę (czy to się ma rozumieć tylko *zewnątrzną* z zanegowaniem władzy duchownej wewnętrznej, czy też powinno być *zwierzchniczą*?) i ostatni głos w orzekaniu spornych kwestyi, nie tamował żadnemu z Kościołów narodowych rozwijania się swobodnego wedle wymagań miejscowych.“

Otóż mamy, do czego zdaniem liberalnego katolika schodzi *jedność*, o potrzebie, której co dopiero tak się niby stanowczo mówiło. Najprzód więc Polska ma nietylko *swój obyczaj* w Kościele powszechnym, ale ma obyczaj *Kościoła swego*. Temby się już bardzo kontentował prezes Synodu katolickiego w Petersburgu, jeżeli już nie dla katolików Polski Kongresowej, to przynajmniej dla katolików rosyjskich. Idzie bowiem właśnie o to, aby narody miały *Kościoły swoje* i obyczaje *Kościołów swoich*. Tym sposobem Ruś, Polska, Litwa, nie tracąc ze swej katolickości rozpadłyby się na trzy Kościoły, dla których jak Waszyngton dla Stanów Amerykańskich — synod petersburski stanowiłby ognisko federacyjne. Rzym nawet mógłby w tym systemacie zachować *zwierzchnią* swoją władzę udzielając dyspensy, gracye i t. p. jak udziela dotąd.

Powtóre, ów *obyczaj* obejmuje wedle zdania P. Kr. nietylko pewne różnice dyscyplinarne, nie tylko pewne tegoż samego rzymskiego obrządku miejscowe *zwyczaje*, co na nasze położenie już byłoby dosyć niebezpieczne, ale *obyczaj*, o którym mówi P. Kr. obejmuje sferę *pojmowania prawd katolickich* (więc sferę dogmatyczną) i sferę *zastosowania tych prawd do życia* (więc sferę moralności). To się nazywa podług P. K. *sferą, w której Kościół zapewnił sam in dubiis libertas*. Nie pozostaje jak tylko przedstawić dokument owego *zapewnienia* i staniemy na jednej linii z prawosławiem, który niczém inném dotąd się od nas nieróżnił, tylko *swojem* pojmowaniem prawd katolickich i *sobie właściwem* tych prawd do życia *stosowaniem*. Znieść potrzebę odwoływania się do Papieża w rzeczach wątpliwych dogmatu i moralności, jest toż samo co



otworzyć sobie drogę nie już do jednego narodowego Kościoła, ale tylu ile się podoba. Zasada *in dubiis libertas* nie tylko narodowi zapewniona, ale i każdej jednostce w Kościele. Jeśli jej nie może ograniczać Papież, zkadby do tego służyło prawo synodom nacyonalnym lub biskupom dyccezalnym? Teologowie i wierni używają jej ile chcą, byle w odpowiednim zakresie. Jakim zaś jest ten zakres, niech panu Kraszewskiemu powie święty Augustyn, który pierwszy tę zasadę sformułował, ale który bynajmniej dla tego w kwestyach spornych wiary i obyczajów nie uznaje, aby Kościoły partykularne mogły mieć swoje własne *chcenie i umienie*. Dowodem tego Manichejczycy, Pelagianie i Donatyści, którym ten święty wcale nie folgował, ale ich w kwestyach spornych wiary i moralności parł niepokonalną siłą do poddania się zdaniu Rzymu. Niech P. Kraszewski weźmie na uwagę, że zasada *in dubiis libertas* ma swoją normę w zasadzie także Augustynowej *Roma locuta est, causa finita est*. Rzym zaś decyduje właśnie w rzeczach spornych i zezna ani znać chce katolików, którzy w tych rzeczach *chcą i umieją być swobodnymi*. P. Kraszewski to czuł, choć sobie z tego sprawy nie zdawał i powiedziaławszy co dopiero, że Polska chciała i umiała być w rzeczach wątpliwych wiary i obyczaju swobodną, napisał zaraz potem, że Rzym ostatni głos zostawił sobie w orzekaniu kwestyi spornych. Lecz czyż kwestye sporne mogą mieć miejsce w zakresie innych rzeczy, jak właśnie *wątpliwych*? Przecież rzeczy pewne, spornemi być nie mogą. Tak się przyzwyczaili liberalni nasi do przekonania o ograniczonem umyśle swych czytelników, że już sobie z nich nie robią, tylko twierdzą rzeczy najsprzeczniejsze i wierzyć każą. Nie dziwić się, że nieomylność papieska tak im nie na rękę. Lecz może P. K. nie miał na myśli kwestyi wątpliwych zakresu dogmatycznego lub moralnego. Dajmy na to i zamknijmy oczy na owe *pojmowanie prawd katolickich i ich stosowanie*, lub pozwólmymy w sobie wmówić, że tak się nazywają tylko pewne dogmatycznie nieoznaczone strony zawisłości Kościołów partykularnych od Rzymu — to jeszcze i tak mamy prawo zapytać p. Kraszew. gdzie to i kiedy Kościół w tej mierze zostawił swobodę narodowym Kościołom rozwijania się *wedle wymagań miejscowych*. Czy to było we Francji w wieku Bossueta, czy w Niemczech w wieku Henryka IV, lub w wieku Honttheima i Kaunitza, czy w Anglii w wieku Tomasza Becketa lub Anzelma kantuaryjskiego; czy w Czechach w wieku Zyski i Taborytów; czy w Polsce w wieku Komendoniego i Uchańskiego, lub może w wieku Sliwickiego, Konarskiego i Stanisława Augusta? Czy to te są dowody, że Kościół powszechny zostawiał w tej mierze swobodę Kościołom narodowym według *miejscowych wymagań*? Czy P. Kr. wie kto zwykle takie wygania, formułuje i stawia? Nie idąc dalej jak do Sliwickiego i Konarskiego, czyż nunciusz Durini i Garampi nie ukazują za nimi manewrów protektorki złotych wolności w Polsce?



„Cała społeczność katolicka była zawsze raczej federacją Kościołów niż monarchią jedną.“ Cała? i zawsze? Niechcemy już stawiać przeciw temu wyrokowi historycznemu słów Chrystusa Pana, który Piotrowi daje moc i wkłada nań obowiązek *paszenia owiec* — i mówi, że ma być jeden *pasterz i jedna owczarnia*. Niepotrzebaby nawet, aby w tej mierze między nim i Ewangelią stała Orthodoxya, jak przeciw temu protestuje ustami Stasia Leliwy — słowa są jasne, wyraźne — ale dajmy im pokój — P. Kr. bowiem odpychając *orthodoxyę* katolicką, miejsce jej między sobą a Ewangelią daje *exegezie* Renanowej i podług niej tłumaczy same fakta, jak na przykład nawrócenie ś. Pawła, (który u niego z wyrobnika namiotów przemieniony jest na rycerza blaskami ochrzczonego); ale zostawiając to na boku, pytamy się znowu P. Kr. kiedy to *zawsze* cała społeczność była federacją Kościołów nie zaś monarchią jedną? Czy za Leona Wgo, czy za Grzegorza VII, czy za Innocentego III, czy w wieku Belarmina? czy w wieku Bossueta? Prosimy przeczytać tego ostatniego, wcale nie ultramontańskie kazanie o *jedności Kościoła*. Co się tyczy historii Kościoła w Polsce, czy Pan Kr. te swoje *zawsze i cała* ugruntował na świadectwach dziejowych? Mamy przed sobą Helclowe „Starodawne prawa polskiego pomniki“ (T. I. 1856), tam zaś w dziale o *Ustawodawstwie Kościoła polskiego*, zbiór statutów, w którym od pierwszych zawiązków Kościoła zupełnie co innego widzimy, to jest widzimy, że *cały* Kościół w Polsce *zawsze* Papieża uważał nie za jakiegoś honorowego prezydenta kościołów federacyjnych ale za monarchę całej społeczności religijnej. W roku np. 1075 Grzegorz VII przewodnicząc przez swych legatów na Synodach w Polsce w liście do Bolesława pisze: *hos legatos ad vos direximus, quatenus ea quae emendanda sunt aut ipsi definiant aut nobis definienda referant*.

Niedługo potem Gwaldo Beauvais w imieniu Papieża reformuje Kościół *in capite et membris* i zrzuca niegodnych biskupów (r. 1104). W ośmdziesiąt lat potem kardynał Malabranka legat papieski reformuje duchowieństwo na Synodzie Łenczyckim (roku 1189), wedle Starowolskiego, lub krakowskim wedle Długosza. W wieku XIII Ketlicz działa w imieniu Innocentego III w interesie ściśnienia jedności z Rzymem i uchronienia wolności Kościoła *od wymagań miejscowych*. Im jaśniejsza historia naszych synodów, tém wyraźniejszy bezpośredni rząd Papieża, jako monarchy społeczności religijnej. Przy końcu wieku XIII i na początku XIVgo legaci papiescy z nieograniczoną władzą prezydują na Synodach razem Węgierskich i Polskich, jak np. Filip z Fermo, jak Mikołaj z Ostyi i tylu innych.

Oto co *cała* społeczność katolicka w Polsce i co *zawsze* przedstawia wedle pomników Helcla. To zupełnie co innego, jak wedle P. Kr. Tylko że Helcel wskazuje na dokumenta, a P. Kr. na siebie samego. Jeżeli idzie o to, czém bywaliliśmy w późniejszych



wiekach, to proszę zajrzeć do historii Legatów naszego X. Fabijasz, jeżeli już nie do monumentów Theinera. Tam dopiero widać, jaką to monarchią sądzono być nasz Kościół, kiedy legacy papiescy wchodzili w najdrobniejsze nawet szczegóły miejscowych administracyi; kiedy biskupom takim np. jak Nankier nie wolno było nawet używać brewiarza dycezyi, do której należeli dawniej, bez pozwolenia Papieża; kiedy monarchowie i monarchinie nasze pozwolenia na wybieranie sobie spowiedników w Rzymie się dopraszały i t. d.

Przedstawiwszy tedy czém *zawsze* bywaliśmy *cali* jako katolicy, zwraca się do dzisiejszych czasów aby pokazać, jak się różnimy od owych starych naszych przodków.

Tutaj już bije nas jako ultramontanów, pokazuje jakie są niebezpieczeństwa tej jedynej u nas siły, jednoczącej i organizacyjnej, jak powyżej twierdził o naszym ultramontanizmie.

Jakież są tedy grzechy nasze, z których za wszystkich nas skarży się przed niebem i ziemią i każe nam się bić w piersi? „Cechą ultramontanizmu główną jest ślepe posłuszeństwo Rzymowi i poświęcenie mu wszystkiego aż do sprawy ojczyzny i narodu, której katolicyzm biorąc ściśle nieuznaje. Zna on jedyną ojczyznę niebieską i obowiązek poświęcenia jej wszelkich bez wyjątku ziemskich względów. Po rozwinięciu idei Ojczyzny wedle pojęć katolickich starych odesłać byśmy mogli do kazań X. Piotra Skargi, wedle nowych do P. Maurycego Dzieduszyckiego.“

Co tu galamatiasu, co tu fałszu w kilku wierszach.

Zdaje się najprzód, że grzechem ultramontanizmu nie jest jeszcze posłuszeństwo, to bowiem P. Kr. uznał w nim jako *zalebę* — ale grzechem ultramontanizmu jest *ślepe* posłuszeństwo *Rzymowi*.

Jakto *ślepe*? Czyż co dopiero nie napisał był, że ultramontanizm „*ma odwagę wypowiedzenia swych przekonań*.“ Czyliż ludzie mający w jakiej sprawie *przekonania* i odwagę ich wypowiedzenia mogą być w tej samej sprawie ślepo posłusznymi? A któreż to widzenie jest doskonalsze w tej sprawie nad widzenie *przekonań*?

Jakto *ślepe*? Czy Fenelon potępiający swe własne dzieło z wysokości biskupiego tronu po otrzymanym wyroku rzymskim — czy ten sam Fenelon walczący potem z Bossuetem przeciw uroszczeniom galikanizmu w sprawie nieomyślności Papieskiej, jest w swojej przepysznej rozprawie *ślepym*?

Jakto *ślepe*? Więc biskupi tacy jak Dunin, Drost Wischering walczący w sprawie posłuszeństwa przeciw *miejscowym wymaganiom Kościoła pruskiego*, byli ślepyimi?

Jakto ślepi? Więc Zbigniew Oleśnicki, Hozyusz Warmiński najpotężniejsi miłośnicy posłuszeństwa Rzymowi; więc cały prawie episkopat Polski z epoki Jakóba Uchańskiego stawiający się przeciwko temu ostatniemu, byli w tej sprawie ślepyimi?



Jakto ślepi? więc arcybiskup Feliński, biskup Paweł Rzewuski, biskup Wincenty Popiel i inni podobni zasłani w głębi Rosji za swą uporczywość w stosunkach z Rzymem i za odwagę wypowiedzenia swych przekonań przeciwnych drakońskiemu ukazowi, za walkę w sprawie autonomii władzy rzymskiej, przeciw *nie miejscowym wymaganiom*, to wszystko ślepi?

Więc ślepym był także Kaliński biskup chełmski, ten wielki bohater Kościoła unickiego; ślepym biskup Benjamin Szymański, ślepym biskup Konstanty Łubieński, którzy w sprawie posłuszeństwa Rzymowi poświęcili przez zgon męczeński swe życie?

Więc X. Szczygielski, X. Domagański walczący przeciw pokusom autonomii kapituł, bronionej przez księcia Czerkaskiego, który w imię tej autonomii wymagał, aby kapituła bez względu na Rzym sama wybrała administratora — to wszystko ślepi?

„Katolicyzm, powiada, ściśle biorac rzeczy nieuznaje Ojczyzny innej prócz niebieskiej.“ (str. 15). A więc już katolicyzm, nie zaś stawiany przeciwko niemu ultramontanizm. I zaraz po tém twierdzeniu odsyła czytelników „po rozwinięcie idei ojczyzny wedle pojęć katolickich starych do kazań X. Piotra Skargi. A więc katolicyzm z czasów Skargi, katolicyzm stary uznawał oprócz niebiańskiej i ziemską ojczyznę, tylko jej nieuznaje neokatolicyzm. W kim? Trzy wieki dzieli jezuitę Skargę od jezuitę Morełowskiego autora trenów, od jezuitę Antoniewicza — i czy zaszła jaka odmiana? Po nowe wyobrażenia o patryotyzmie odsyła do broszury hr. Maurycego Dzieduszyckiego. Pozwoli nam P. Kr. być przekonanymi, że Dzieduszycki dawno nas już z temi wyobrażeniami Skargowskiemi obznajmił — i że odsyłać Polaków w rachunkach Bolesławity do Skargi po pomnikowym dziele Dzieduszyckiego o Skardze, jest to prawdziwie za daleko *wolne żarty* posuwać. Jużcić przecie uwierzyć, że P. Kraszewski i liberalni nasi katolicy lepiej rozumieją Skargę niż Dzieduszycki, mógłby chyba tylko ten, ktoby się pierwszy raz od P. Kr. i o Dzieduszyckim i o Skardze dowiedział. Że na pojęcia broszury Dzieduszyckiego Skarga-by się bezwarunkowo pisał o tém tylko Ciesia postępową w obrazku „kochajmy się“ zdolną byłaby wątpić, a tylko Staś Leliwa (w tymże obrazku) mógłby to w żart sceptyczno-romantyczny obrócić — ale żeby się Skarga po niewiedzieć jakich nawet zastrzeżeniach na katolicyzm i pojęcia o patryotyzmie Bolesławity mógł podpisać, to chyba tylko redaktor Drezdeńskiego Tygodnia w nieograniczonej miłości dla Bolesławity uwierzyć byłby zdolny.

Nie, Dzieduszycki w swej broszurce ani się na jotę nie różni od Skargi w jego kazaniach pod względem pojęć katolickich o ojczyźnie; bo Skarga nigdy na równi niekładał ojczyzny niebieskiej z ziemską, bo Skarga zawsze uczył, że ziemska niebieskiej służyć powinna i że w kolizji interesów ziemskiej z interesami niebieskiej, pierwsza drugiej, nie zaś druga pierwszej ma ustępo-



wać; bo Skarga patryotyzmowi depczącemu prawa ojczyzny niebieskiej groził przepowiednią srogich nieszczęść (których dzisiaj według szkoły liberalnej nie wolno nawet przymierzać do grzechu narodu, aby zaraz nie ściągnąć na siebie miana zdrajcy lub szaleńca); bo Skarga nieumiałby namawiać królewicza Władysława do poświęcenia jedności z Rzymem na rzecz ofiarowanej moskiewskiej korony, a byłby zdolny z pewnością zachęcać do poświęcenia wszystkich koron świata, jeśliby one miały być zapłatą zdrady jakichkolwiek interesów Religii. Takim jest Skarga dla katolików kształconych nie na romansach, powieściach i obrazkach ale na samymże Skardze. Takim jest Skarga dla nas ultramontanów właśnie dla tego, żeśmy są katolikami starego autoramentu.

Sam P. Kr. przyznaje nam to ostatnie, skutkiem swej ulubionej antytezy. Oto są jego słowa. „Ten katolicyzm krańcowy (to jest ultramontański) będąc spadkobiercą wieków i mając za sobą skarbnicę tradycji czerpie z niej siłę ogromną.“

Jesteśmy więc spadkobiercami wieków — więc nie tak źle stoją rzeczy jak się zdawało, kiedy ten sam autor, w tej samej książce, ledwie nie na tej samej stronnicy (str. 15 i 16) zarzucał nam sprzeczność pojęć ze starymi katolikami — i jakby nam się mogło zdawać, gdybyśmy o trzy stronnice niżej, epitet *neokatolików* z za gór chcieli brać za co innego, jak za proste przezywanie.

Ale się też i nie cieszymy, kiedy pan Kraszewski zarzucał katolicyzmowi (na str. 15) skrajnemu, to jest ultramontanizmowi „ślepe posłuszeństwo,“ przyznaje mu na str. 16 i 17 między innymi zaletami i tę, że „prostuje wiele idei fałszywych a w powszechny obieg puszczonech.“

Nie, nie cieszymy się, bo zaraz na tej samej str. 17 dowiemy się, że ten sam katolicyzm, który jest wieków spadkobiercą i ma za sobą skarbnicę tradycji — i prostuje wiele idei fałszywych, ten tedy sam katolicyzm jest użyteczny tylko „jak wróbel, który wytępia owady, ale sam pszenicę wypija.“

Że ten sam katolicyzm „to ograniczenie swobody umysłu, to niewola myśli, to przeciwieństwo z ruchem wieku, to antagonizm z nim (sic).“

Ale co gorsza, że tedy ten katolicyzm nasz ultramontański ta twarda *niewola myśli* (poprzednio był wróblem), jest jeszcze „monetą, którą się okupuje bezkarność życia płochego obyczajów lekkich.“

A co najgorsza „zarzucić mu można (P. Kr. pozwala) brak prawdziwie chrześcijańskiego ducha.“

Gdzie tam tylko *brak*, to po prostu *ortodoxya*.

A P. Kr. przez usta swego nieoszacowanego Stasia Leliwy, powiada w odcinku „kochajmy się“ „nie zaprę się Chrystusa dla ortodoxyi.“ Więc ortodoxya wymaga zaparcia się Chrystusa! Jakżeby nie? kiedy „przez nią wyszpecono (sic) naukę Zbawiciela.“ (Nr. 7 Tygodnia str. 62).



A ta nauka Zbawiciela, to co? Tu już sam P. Kr. własnymi ustami odpowiada we wstępie do obrazka „kochajmy się“ (który to obrazek, tak nam żywo przypomina elukubrację fantastyczne biednych kolegów już w trzeciej klasie odartych z wiary).

„Viciisti Galilee! wypisane na kopule św. Piotra, ale gdzież „zwycięstwa, zdobycze? Trup pokonanego pogaństwa schwycił „skostniałemi dłońmi żywe dziecię i dusi je od lat 2000 — ani „trup umrzeć i rozsypać się, ani dziecię może urosnąć. Czasem „w tym splocie życia i śmierci rozeznąć trudno, gdzie to co żyje „i to co umrzeć było powinno.“

Mniejsza już o to, że P. Kr. ślepotę ultramontanizmowi zarzucający, pyta się tutaj o zdobycze i zwycięstwa Galilejczyka nad pogaństwem, a mówi zaraz o *pokonaném* pogaństwie, z którego został tylko *trup o skostniałych dłoniach*. Jest to jedna z tych licencyi poetyckich, którychby nam był pewnie Mecherzyński płazem w szkole nie puścił, ale P. Kr. przecież nie pisał ćwiczenia, tylko obrazek dla przyjaciela — a choć wątpimy, żeby ten przyjaciel dla studentów był od Mecherzyńskiego łaskawszy, bo to ani mniej ani więcej, tylko Lenartowicz na dedykację przecież takiej znakomitości musi być względny.

Mniejsza o to powtarzamy — ważniejsza kwestya kto to jest ten trup pogaństwa, który skostniałemi rękami dusi dziecię a sam umrzeć nie może (trup!) tylko dusząc dziecię nie da mu urosnąć?

Trup, to Ortodoxya, to Kościół Rzymski. Dziecię od 2000 lat duszone, to Ewangelia.

Tak nam rzeczy tłómaczy Staś Leliwa, kłócąc się z ojcem katolikiem, podobnie jak Cesia liberalna kłóci się z matką (bo u P. Kr. i to piękne, a przykazanie „Czeij Ojca twego i Matkę twoję“ może już zeszło na niewolniczy ultramontanizm). Otóż tedy ów Staś Leliwa powiada o sobie, że jest dzieckiem wieku i rozumie wszystko, a nie wierzy w nic. Jak rozumie wszystko — niech świadczy każde jego rozumowanie i dyskusya, choćby z Cesią, która gdyby nie była kłótnicą, bardzo złego tonu, mogłaby swego interlokutora co moment złapać na gorących nonsensach; że zaś nic nie wierzy a jednak jest zwolennikiem Ewangelii, najlepiej pokazuje czém być powinien katolik liberalny.



w Nr. 12. str. 19 w. 27, zamiast: *koalicji* — czytaj: *kolizji*.

Ta sama poprawka na tej samej stron. w. 33.



## KRONIKA SOBOROWA.

Posiedzenia jeneralne. — List pochwalny Piusa IX do O. Gueranger. — Rozwiązanie zagadki. —

Po miesięcznej prawie przerwie zgromadzono się znowu na dniu 18 marca na 31sze z kolei zgromadzenie jeneralne. Po odprawieniu, jak zwyczajnie, najświętszej ofiary i modlitwie Soborowej, odczytano najpierw sprawozdanie komisji *judicium excusationum* oznajmiające, że komisya uznała za słuszne prośby 5 biskupów w przedmiocie wyjazdu z Rzymu. Ojcowie zatwierdzili wyrok komisji, a tak znowu pięciu biskupów, prawie wszyscy z Ameryki, jak i poprzedzający o którychśmy wspominali, opuszczają Sobór.

Następnie Msgr. Simon, prymas Węgier, zabrał głos w imieniu deputacyi *de Fide* zdając sprawę z poprawki i modyfikacyj tyczących się 1go szematu *de fide* jakie nadesłano do rzeczzonej deputacyi. Poczem zaczęto dyskusyę nad 1szym zmodyfikowanym szematem: *Constitutio dogmatica de fide catholica*. (Jest to ten sam, któryśmy podali pierwiej pod tytułem: *De erroribus ex rationalismo derivatis*). Przemawiali MMsgr. Wincenty Tizzani, arcyb. z Nisibi *in part.* zakonu kanoników regularnych; Ludwik Moreno, arcyb. Iwrei; Wincenty Spaccapietra, arcyb. Smyrny, Wik. Apost. małej Azji, z kongregacyi myssyi.

W chwili gdy Ojcowie opuszczali salę Soborową dostrzegli, że Papież właśnie odbywał stacyę w Bazylice, wielka przeto liczba Kardynałów i biskupów przyłączyła się do niego dla wspólnej modlitwy.

Dnia 22 Marca 32 posiedzenie jeneralne. Po mszy św. prowadzono dalej dyskusyę nad tym samym szematem *de fide* w ogólności. Przemawiali Msgrowie: Jakób Ginoulhiac, bisk. Grenoble; Tomasz Salzano, biskup z Tanes *in part.*; Kard. Fryderyk Schwarzenberg; Piotr Kenrick, arcyb. ze św. Ludwika (Stan. Zjed.) w końcu Jan Bravard, biskup z Coutances.

Ponieważ już nie było nikogo więcej zapisanego do rozpraw nad szematem, zatem przed zamknięciem rozpraw ogólnych wstąpił na mównicę, Msgr. Simor, prymas Węgierski i odpowiedział w imieniu kongregacyi *de Fide* na uwagi i zarzuty Ojców. Miał on tą razą, jak zwykle, mówić dobitnie, jasno i z wielką łatwością w wymowie.

Następnie rozpoczęto dyskusyę nad wstępem szematu, już podług przepisu nowego regulaminu, który nakazuje częściowe szematów rozbieranie. Czterech Ojców zabierało głos: Msgr. Lu-



dwik Moreno, bisk. Iwrei; Franciszek Gandolfi, bisk. z Civita-Vechia i Konieto; Piotr Dreux-Brezé, bisk. z Moulins; w końcu Józef Strossmayer.

Na tém posiedzeniu powtórzyła się znowu scena, jaka już była raz zaszła na 30stém posiedzeniu. X. Strossmayer zapomniał, że Kardynałowie-legaci i Ojcowie umieją, kiedy potrzeba, stanąć w obronie swej powagi i powagi Soboru i zaczął po swojemu zbaczać od przedmiotu, który miał traktować. Zawezwany raz do porządku przez jednego z prezydujących, Kard. Capalti, odpowiedział tylko na upomnienie i ciągnął dalej. Zawezwany po raz drugi, jeszcze nie myślał usłuchać i chciał dalej wywodzić, że Sobór nie może orzekać, jak długo nie ma jednomyślności. Natenczas wszyscy prawie Ojcowie głośno objawili swe niezadowolnienie, uznając słuszność i prawność upomnienia Kardynała, a X. Strossmayer opuścił mównicę, kończąc swą odezwę słowem: *Protestor!*

Nowy to żer dla naszych pseudo-liberalnych dziennikarzy, którzy zawsze w każdej opozycji, choćby najnielegalniejszej i najbardziej poniżającej oponenta, już dlatego samego, że jest rodzajem rewolucyi przeciw władzy skierowanej, nie widzą, jak tylko wielkość ducha, odwagę i *naturalne* podwładnych w obec władzy zachowanie się. My katolicy inaczej się zapatrujemy na takie wybryki i nie możemy jak tylko litować się nad tymi, którzy się ich dopuszczają. A że to nie jest tylko ultramontańskie dzisiejsze widzenie rzeczy, dowodzi fakt następny, który miał miejsce na Soborze chalcedońskim. \*) Zgromadzeni tam Ojcowie przyjęli jednozgo-

---

\*) Fakt ten powinienby wziąć na uwagę obrońca opozycji Soborowej piszący do naszych pseudo-liberalnych organów z Termini, który sądzi, że nędznych swych wygadywań podniesie wartość przez nędzniejsze jeszcze manewra, jak np. że w jednej korespondencji pisze *szema*, a w drugiej *schema*; albo np. że ex cathedra kolumn „Kraju“ (Nr. 73 d. 31 Marca) udzielać raczy sobie samemu przemawiającemu w Tygodniu świadectwo prawdy i nieomyślności w odsądzaniu od czci OO. Zmartwychwstańców i X. Prymasa Gnieźnieńskiego. Zabawny jest prawdziwie w tej swojej protestacyi czy encyklice, którą chyba na to podpisał, aby się wszem i w obec, komu o tém wiedzieć należy, oznajmił fabrykantem rzymskich korespondencyj do całej naszej bezbożnej prasy. Ten styl nieszcześliwy noszący cechę smutnego rzemiosła jakiemu od lat kilku służy, stał się już prawie stereotypowym. A te „przestrogi od osób *nader* wysoko położonych“ o zamachu na jego najdosłojniejszą osobę wystarczą za podpis exszambelana, tak dalece, że ten podpis jest zupełnie zbytecznym. *Nader* wysoko położona osoba ostrzega p. Kulczyckiego po francusku... Stulti aliquando sapite! Jego to rozwesela, nasby do rozpuku rozśmieszało, gdyby nie wzbudzało razem obrzydliwości.



dnie list Papieża św. Leona Wielkiego, pisany do Flawiana, a potępiający herezyę Nestoriusza i wyrzekli one historyczne słowa, które stały się niejako axiomatem w Kościele: „*Petrus per Leonem locutus est. Anathema ei, qui ita non credit.*” Piotr przemówił przez Leona. Przeklęty, kto tak nie wierzy.“ Działo się to na 2-gim posiedzeniu, jak dziś mówimy — *Actio II* nazywają dziejopisarze ówczesi. Na 4-tém tegoż Soboru posiedzeniu uchwalono, że „*qui non subscribit epistolae, cui omnis Synodus consensit, haereticus sit*; kto nie podpisze listu, na który się zgadza cały Synód, niech będzie jako heretyk.“ Rzecz oczywista, że ta pogroźka wymierzona była *przeciw biskupom*, gdyż oni tylko podpisują uchwały Soboru. A pokazało się to jeszcze widoczniej na posiedzeniu 8mem. Teodoret biskup Cyreny, począł się wymawiać od podpisu, szukając wszelkich pozorów do usprawiedliwienia swego postępowania. Wtedy to Ojcowie (nie pouczeni jeszcze od X. Strossmayera, że nie mogą wydawać wyroków, dopóki się wszyscy nie zgodzą) powiedzieli: „*Dic clare anathema Nestorio.* Rzuć wyraźnie kłatwę na Nestoriusza.“ A kiedy Teodoret jeszcze się wahał, Ojcowie chociaż wiedzieli, że on w sumieniu nie sprzyja herezyi, gdyż niedawno temu został od Leona św. za wiarę swą pochwalony i na swej stolicy zatwierdzony, przecież zawołali: „*Iste haereticus est, iste Nestorianus est. Haereticum foras mittite,* to heretyk, to Nestoryanin. Precz z heretykiem.“ I wtedy popiero Teodoret przełękniorny usłuchawszy podpisał: „*anathema Nestorio, et ei, qui non dicit Dei Genitricem Virginem Mariam,* przeklęty Nestoryusz i ten który mówi, że Dziewica Marya nie jest Matką Bożą.“ Ten sam Synod złożył z Stolicy biskupiej trwającego w uporze Dioscora i rzucił kłatwę na archimandrytę konstantynopolitańskiego Eutycheasa. A więc już w r. 451 zgadzano się na zasady ultramontańskie że Piotr mówi przez Papieża, i że ci, którzy nie idą za tą częścią Soboru, która zostaje w zjednoczeniu z Papieżem, choćby to byli sami Ojcowie Soboru, *haeretici sunt* jeśli trwają w uporze i mogą być złożeni z stolicy biskupiej.

*Dnia 22 Marca 33 posiedzenie jeneralne Soboru.* Rozprawy nad wstępem szematu rzezonego w ogólności prowadzono dalej i przemawiali w tym przedmiocie jeszcze Msgrowie: Józef Caixal y Estrade, bisk. z Urgel; Piotr Ferré, bisk. z Kasal; Meignau, b. z Chalons; Salvado Rodesindo, bisk. z Porto-Vittoria; Ryszard Whelau, bisk. z Wheeling; Ludwik Haynald, bisk. Koloczy.

Następnie rozpoczęto dyskusyę nad pojedyńczemi rozdziałami, mianowicie nad 1szym. Zabierało głos 4ch Ojców: Piotr Balzerini, patryarcha Alexandryjski; Franc. Gandolfi, bisk. z Civita-Vechia; i wspomniani wyżej biskupi z Urgel i Kasal.

*Dnia 24 Marca 33 posiedzenie jeneralne.* Po zwyczajnem na-bożeństwie przemawiali w dyskusyi nad 1szym rozdziałem szematu *de fide catholica*: Salvado Rodesindo, bisk. z Porto-Vittoria;



Hefe, biskup z Rottenburg; Ludwik Dubreuil, arcyb. Avignonu; Wilhelm Ullathorn, bis. z Birmingham; Eberhard, bisk. Trewiru; Ramadié, bisk. z Perpignan; Gastaldi, bisk. z Saluces. Poczem rozpoczęto dyskusję nad 2gim rozdziałem, w której odzywali się Msgrowie: Ballerini, patr. Alexandryjski; Ricciardi, bisk. z Reggio; Gelabert, bisk. z Parana; Gandolfi, bisk. z Civita-Vechia.

Biskupa Gastaldi słuchali Ojcowie z oznakami wielkiego zadowolenia — miał on mówić o niektórych rzeczach w sposób wręcz przeciwny biskupowi Perpignanu. Na tém posiedzeniu rozdaćno Jescom na kartkach drukowanych uwagi i poprawki ostatecznie jeszcze postawione nad częściami szematu, nad którymi już zamknięto rozprawy. Dnia 26 marca miało się odbyć ostatnie głosowanie nad przyjęciem szematu i postawionych poprawek.

*List Piusa IX do Dom Guéranger'a.* Wspominamy o tym liście Ojca św. z dwójakiego powodu. Najpierw, iż jest pochwaleniem dzieła niedawno wydanego: *De la Monarchie Pontificale-Defense de l'Eglise Romaine*, które napisane z powodu nieprzychylnych prymatowi Stolicy św. i nieomyślności Papieża publikacji, one zwycięsko zbija, i obie zakwestyonowane niesłusznie prawdy z głęboką gruntownością udowadnia. Pochwalenie zatem takiego dzieła przez Najwyższego Pasterza Naszego rzuca na kwestye dzisiejsze jasny promień, mogący katolikom posłużyć za przewodnika w ich ocenianiu.

Lecz nadto list ten Ojca św. ma niepospolitą wartość dlatego, że wyraźnie już wypowiada politowanie nad obłudą tych katolików, którzy, jak gdyby za mało uszczęśliwieni tém świętym imieniem, koniecznie chcą do niego dodać tytuł: *liberalnych*. Nasi współziomkowie i niejedni współbracia w zawodzie powinni by małe rozmyślane nad słowami i myślą tego listu uczynić. Oto list:

Naszemu kochanemu synowi Prosperowi Guéranger,  
z kongregacyi Benedyktynów francuskich, Opatowi ze Solesmes.

Pius IX Papież.

Kochany synu, łaska Ci i błogosławieństwo Apostolskie.

Jest rzeczą bez wątpienia politowania godną, kochany synu, że się znajdują pomiędzy katolikami ludzie, którzy szcząc się tém imieniem, są jednak całkowicie przesiąknięci zepsutymi zasadami, i z taką do nich lgną uporczywością, iż nie umieją więcej podać z uległością własnego rozumu wyrokom tej świętej Stolicy, gdy ta im jest przeciwną nawet wtenczas, kiedy ją wzmacnia jednomyślność powszechna i zalecenie episkopatu. Oni nawet dalej jeszcze się posuwają i chcą postęp i szczęście społeczności ludzkiej od tychże zasad zależnemi uczynić, usiłują nakłonić Kościół ku swoim przekonaniom; siebie samych tylko za mądrych uwa-



zając nie wstydzą się nazywać *partyą ultramontańską całej rodziny katolickiej* która inaczej od nich sądzi.

Szałeństwo to dochodzi do tego stopnia nadużycia (*excès*), iż zamierzają przerobić samą boską konstytucję Kościoła i przykroić ją wedle form nowoczesnych rządów świeckich, ażeby w ten sposób łatwiej obalić powagę nadanego mu przez Chrystusa najwyższego Naczelnika, którego się prerogatyw obawiają. Ztąd to pochodzi, że tak zuchwale stawiają pewne doktryny niejednokrotnie już zganione, jakoby całkiem niawatpliwe lub przynajmniej zupełnie wolne. W ślad za dawnymi obrońcami tychże doktryn wznawiają szykany historyczne, cytacye pokaleczone, potwarze wymierzone przeciw Rzymskim Papieżom, a wreszcie sofizmata wszelkiego rodzaju. To wszystko z wielką beczelnością ponownie wywlekają, wcale nie zważając na argumenta, któremi już stokroć one fałsze rozbito.

Ich celem jest niepokoić umysły i podburzać ludzi swego stronnictwa, nieoświeconą zaś ludność usposabiać przeciwko przekonaniom powszechnie przyjętym. Okrom złego, które robią niepokojeniem wiernych i rzucaniem na bruk uliczny kwestyj niezmierniej wagi, oplakiwać też musimy bezrozum ich postępowania równy tylko ich śmiałkowatości. Gdyby z innymi katolikami wierzyli mocno, że Soborem ekumenicznym rządzi Duch św., że jedynie za natchnieniem tego Ducha św. określa on i podaje to, co wierzyć mamy, nie byłoby im nigdy przyszło na myśl, że rzeczy nieobjawione, albo szkodliwe Kościołowi mogą być orzeczonemi, ani by też z drugiej strony sobie wyobrażali, że manewra ludzkie mogą powstrzymać potęgę Ducha świętego i przeszkodzić orzeczeniu rzeczy objawionych lub pożytecznych Kościołowi. Ani by też nie twierdzili, że zabronionem jest Ojcom przekładać w sposób odpowiedni i celem lepszego wyświecenia prawdy, trudności, które mieć mogą w tém lub owém orzeczeniu. Gdyby nimi powodowały tylko pobudki szczerze katolickie, byłiby się wstrzymali od knowań, jakich zwyczajnie używają dla pozyskania głosów w zgromadzeniach ludowych i czekałoby w spokoju i z uszanowaniem skutków światła mającego zstąpić z góry. I oto dla czego sądzimy, że oddałeś Kościołowi wielką przysługę, podejmując zbijanie głównych twierdzeń, jakie spotykamy w pismach publicznych, pod wspomnianym wpływem zostających, i wywodząc na jaw tego ducha nienawiści, tę gwałtowność i sztukę podstępna, jaka je cechuje. A ułożyłeś to dzieło z taką gruntownością, taką jasnością i takim bogactwem dowodów czerpanych ze starożytności świętej i z nauki kościelnej, że, zawierając wiele rzeczy w niewielu słowach, zdarłeś wszelki urok mądrości z tych, którzy swe myśli owijali stucznie w rozumowania obrane z rozumu. Przywracając należne miejsce prawdom wiary, sprawiedliwości i historii stanąłeś w obronie interesu wiernych tak niewykształconych, jak i samych wykształconych. Wyrażamy Ci przeto naszą wdzięczność



za szczególniejsze ofiarowanie Nam tego dzieła, i spodziewamy się szczęśliwego oraz wielkiego powodzenia dla owocu twojej pracy. Jako zaś rękojmię tego powodzenia i oznakę naszej ojcowskiej przychylności, dajemy Ci z serdecznością błogosławieństwo apostołskie.

Dan w Rzymie u ś. Piotra, 12 marca 1870, roku 24go pa-  
piestwa naszego.

Pius PP. IX.

W tej chwili dochodzi nas drugi cenny dokument. Jest to przemówienie Ojca św. do Wikaryuszów apostołskich, dające prawdziwe wyobrażenie o opozycji Soborowej i ocenienie jej postępowania. Dlatego sądzimy, że go nam nie wolno pominąć.

Było to 24 marca. Ojciec święty sprosił biskupów Wikaryuszów apostołskich, ażeby im rozdać różne podarunki i przybory kościelne na jego ręce dla nich przysłane. Zgromadzeni w liczbie przeszło stu, oczekiwali Ojca świętego w Sala Regia, a skoro ten wyszedł do nich, wszyscy upadli na kolana. Ojciec św. ze zwyczajną sobie poważną i słodką uprzejmością powiedział: *Surgite!* i stojąc pomiędzy nimi w te odezwał się słowa:

„Wielką mi sprawia radość, iż was widzę i spodziewam się, że i dla was jest to pociecha, że blisko mnie jesteście. Pewne dobre niewiasty przysłały mi różne rzeczy do rozdania. Musicie się modlić za te pilne robotnice, które pracowały nad upiększeniem domu Bożego. *Dilexi decorem domus tuae*. Pragnę one.. ale nie mogę sobie przypomnieć wszystkiego. Zresztą znajdziecie w każdym koszyku kartkę, na której wyrażone są ich pobożne intencje. Proszą przede wszystkim o rozszerzenie nabożeństwa do Serca P. Jezusa, co ja też bardzo pochwalam. Przeczytacie i popierać będziecie te pobożne zamiary pracą i modlitwą w waszych missyach.“

„Tak, módlcie się, albowiem wielkie trudności nas otaczają. Przychodzi mi myśl, którą się chcę z wami podzielić. Rozpamiętujemy obecnie oną chwilę, kiedy Piłat sądził Jezusa. Żydzi byli roznamietnieni — Piłat chciał ich odprawić i uwolnić niewinnego. Ale, *si hunc dimittis, non es amicus caesaris!* jeśli tego uwolnisz nie jesteś przyjacielem cesarza! Żydzi, faryzeusze i tłumy wiedziały, jak wolać potrzeba...“ (Tu Ojciec święty zrobił gest wzgardy, a jego słowa przybrały wyraz wzniosłości.) „I dziś są tacy, którzy się boją bojaźnią świata. Oni się boją rewolucyi.“

„Poznają oni i dobrze poznają prawdę, ani dla niej nienawisć nieżywią, ale: *non es amicus caesaris*. Poświęcają więc ze strachu wszystko, i prawa Stolicy świętej, i przywiązanie do Namieśnika Jezusa Chrystusa. Nieszczęśliwi, jakże wielki błąd popełniają goniąc za poklaskami świata! my zaś moje dzieci, szukamy tylko by nas Bóg pochwalił.“



„Waszym obowiązkiem stawać w obronie praw, prawdy i sprawiedliwości. Ta jest walka biskupów: bronić z Namiestnikiem Jezusa Chrystusa prawdy i nie trwożyć się. Moje dzieci, nie opuszczajcie mię.“ (Wołania: Nie! nie!)

„Przyłgnijcie do mnie, bądźcie ze mną, zespólcie się z Namiestnikiem Jezusa Chrystusa.“ (Nowe wołania: Tak! tak! Ojcie święty!)

„Zresztą, my się pomścimy modlitwą. Módlmy się za nich, aby dobry Bóg ich oświecił i ich nauczył. Módlmy się także i za nas. Oby nam Duch św. dać raczył jedną rzecz bardzo potrzebną, potrzebniejszą dziś bardziej, niż kiedykolwiek: pokorę!“

A zwracając się do biskupów wschodnich dodał:

„Dla was też moi drodzy otrzymałem przybory kościelne, ale nie wiele, daję wam, ile mam. Niektóre z tych ozdób są łacińskiego kroju — zrobicie z niemi, co zechcecie. Ale nie wierzcie temu, że ja was chcę latynizować.“

„Agituja wśród was... massonie was oszukują, nie słuchajcie ich. Przyjdźcie do mnie i do Stolicy świętej. Ja was nie chcę latynizować, ale pragnę was objąć w jedność, wzmocnić was i zbawić.“

„A teraz błogosławieństwo apostołskie wam wszystkim, waszym dycezyom, waszym missyom. Błogosławieństwo Ojca, Syna i Ducha świętego, niech wam towarzyszy i broni was zawsze.“

*Rozwiązanie zagadki o pomocy z zewnątrz przeciw Soborowi.*

Cała agitacja p. Daru była jak się zdaje nakręconą przez tych, którzy szukają przeciw Soborowi pomocy od zewnątrz. X. Dupauloup skompromitował się okropnie w oczach katolików, jakiej takiej dobrej woli. Pokazało się, że on listami codziennymi uwiadamył swoich przyjaciół poza Rzymem o wszystkim co się działo w Rzymie. Nieszczęśliwym przypadkiem dla niego, a szczęśliwym dla bałamuconych rozgłosem jego imienia, zdarzyło się, że jeden z jego listów pisanych do p. Cochin współpracownika liberalnego *Français* \*) dostał się w ręce posła Banneville. W liście tym

\*) „Kraj rachując na niewiadomość swoich czytelników, każe im się gorszyć postępowaniem Papieża i większości Soboru, które to postępowanie sama „nawet taka katolicka gazeta jak *Français*, i taka względem stolicy świętej pełna względów i czci, jak *Gazeta La France*,“ surowo krytykują i ganią. Tymczasem *Français* znana jest od początku swego zbyt świeżego istnienia jako organ *galikańsko-ministeryalny* — zaś *La France* jako stara obłudnica, wdowa po czterech lub pięciu ministeriach, dla której Kościół tyle potrzebny i dobry ile tego wymagała polityka *dei suoi consorti*. Cóż się dziwić potem, że korespondent rzymski „Kraju“ takie robi wysilenia, aby katolikom polskim obrzydzić ultramon-



czytano, że „wszystko dobrze pójdzie, jeśli przybędzie pomoc ze strony rządu, ale że tej nie można się spodziewać, jak długo p. Banneville będzie ambasadorem.“ List ten jest zupełnie autentycznym i sam biskup Dupanloup, gdy mu go p. Banneville na jednym z wieczorów niedzielnych, pokazał i zapytał, czy go zna miał odpowiedzieć, „Tak, ja go pisałem.“ Mówią, że tegoż wieczora X. Dupanloup wzięwszy za ramię p. Banneville odszedł do okna, przy którym żywa pomiędzy nimi zawiązała się dyskusya, trwająca około 10 minut; poczem biskup Dupanloup porwawszy się z nagłą opóścił salę. Wskutek tegoż listu poseł francuzki otrzymawszy od p. ministra Daru upomnienie, wyjechał był sam do Paryża, ażeby stan rzeczy wyjaśnić. Jakkolwiek będzie koniec tych gabinetowych ruchawek, z rzeczy, które do dziś wiemy, to smutne wyrobić sobie możemy przekonanie, że Dupanloupiści puścili się na drogę, prosto wiodącą do odszczepieństwa. Smutna to i bardzo bolesna, ale dla katolików pożyteczna, bo już dłużej w niepewności zostawać nie możemy, jakie stanowisko zająć powinniśmy w tej sprawie. Słowa X. biskupa z Lavalu: „Raczej w tej chwili paść trupem, jak iść za X. Dupanloup“ stają się zrozumiałemi.

tańskie dzienniki włoskie i francuzkie (zwłaszcza L' Univers), które tak niedyskretnie odsłaniają nam rzeczywistą wartość jego „*nader wysokich źródeł!* i francuzkich ostrzeżeń o strasznym zamachu na jego exystencję. Niebój się jednak o ty niewinna wielka ofiara powszechnych sprzysiężeń i spisków uknutych przeciwko tobie przez partję Zmartwychwstańców, niebój się człowieku miłości, który tyle tylko wiesz co to jest potwarz, oszczerstwo, szpiegowanie i podle insynuacye, o ile sam jesteś ich codziennym przedmiotem w „Kraju“ w „Tygodniu“ w „Gazecie Narodowej“ w „Dzienniku polskim“ „lwowskim“ „warszawskim! — niebój się ten bezbożny, ten bluźnierczy, rozkielznany Veuillot nieprzeszkodzi nam domyslać się, że *nader* wysoko położona osoba, może być rzeczywiście jedna z tych potęg w żadnym języku niewypowiedzianych, oprócz twojego równającego się chyba językowi prologu do obrazu „kochajmy się!“